

Wątpliwy przywódca – USA po ostatnich doświadczeniach

„Ameryka, tak jak w swoim czasie Rzym, Wenecja czy imperium brytyjskie, jest głównym organizatorem współczesnego świata, mocarstwem popychającym go naprzód, siłą decydującą o równowadze i stawiającą tamę anarchii” – tak w 2003 r. pisał Robert D. Kaplan, jeden z czołowych publicystów amerykańskich. Warto zadać sobie pytanie, czy teza ta dzisiaj może się obronić. Czy Stany Zjednoczone zachowały swój status dominującego mocarstwa na arenie międzynarodowej, bez którego woli i zaangażowania niewiele w świecie może się wydarzyć? Czy ich wpływ na rozwiązywanie kluczowych globalnych problemów politycznych, gospodarczych, społecznych pozostał nieporównywalnie duży? Czy nadal wyznaczają standardy, normy i wartości?

Nie ma przesady w twierdzeniu, że debatę o roli Ameryki w świecie podejmuje się w różnych momentach najnowszej historii. Tak było na przełomie lat 80. i 90. XX w., po runięciu „muru berlińskiego” i upadku Związku Radzieckiego. Wówczas pytanie dotyczyło tego, czy w tym nowym, pozimnowojennym świecie – jak się wydawało – „bez historii”, czyli liberalnym i demokratycznym, bez konfliktów i wojen, obecność Ameryki na dotychczasową skalę jest potrzebna. Dynamika wydarzeń, w tym konflikt o Kuwejt i wojny bałkańskie, szybko zweryfikowała tezę Francisa Fukuyamy. Ameryka, chcąc nie chcąc, przyjęła rolę jedyne supermocarstwa, pełniąc funkcję „quasi-swiatowego policjanta”. Niewielu tę starą/nową rolę Ameryki kwestionowało. Co więcej – wydawała się ona paradygmatem pozimnowojennego porządku międzynarodowego, jego nieodzownym elementem i czynnikiem.

Nr 144 / 2013
29'10'13

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Jakkolwiek niektórzy podkreślali, że nie musi to być rola wieczna, to jednak nie przewidywano kresu *Pax Americana*, nawet w odległej perspektywie.

Powrót do dyskusji o roli i znaczeniu Ameryki w świecie nastąpił pod koniec pierwszej dekady obecnego stulecia. Stawiane wówczas pytanie jeszcze kilka lat wcześniej mogło wydawać się zgoła fantastyczne. Brzmiało ono – czy nie stajemy się świadkiem kresu amerykańskiej dominacji w świecie. Powodem takich refleksji była nadwerżona za czasów prezydentury George’a W. Busha ranga Stanów Zjednoczonych. Choć bezwzględne wyznaczniki potęgi amerykańskiej pod koniec urzędowania Busha nadal pozostały znaczące – USA cały czas powiększały swój potencjał militarny, a i gospodarka amerykańska – mimo obserwowanych już kłopotów – utrzymała status najsilniejszej i najbardziej konkurencyjnej na świecie (PKB USA wynosił 14 bln dol., PKB Rosji stanowił zaledwie 10% amerykańskiego), to jednak prymat Ameryki podważany był zwłaszcza na arenie politycznej. Powodem były m.in. kontrowersyjne działania administracji Busha, łamiące dotychczasowe zasady ładu międzynarodowego, osłabiające niewątpliwy atut państwa amerykańskiego – *soft power*, czyli siłę moralną, potęgujące niechęć i wręcz nienawiść wobec Waszyngtonu. W efekcie nastąpiło bezprecedensowe obniżenie prestiżu Ameryki, deprecjacja jej międzynarodowej roli, także w ramach wspólnoty transatlantyckiej. Osłabła amerykańska zdolność kreowania sytuacji międzynarodowej i rozwiązywania problemów.

To wówczas pojawiło się wiele opracowań, w których stawiano tezę o schyłku supremacji Ameryki. Pisano o roztrwonieniu przez USA ogromnej części ich prestiżu, co – jak przewidywano – prowadzić będzie do powstania postamerykańskiego świata, kreślono obraz wielobiegunowego porządku światowego, w którym do głosu dojdą nowe, alternatywne potęgi i siły. Ale też stawiano tezę, że choć Stany Zjednoczone muszą konkurować na geopolitycznym rynku z innymi potęgami, to wcale nie oznacza, że ich rola musi dalej słabnąć i proces „dehegemonizacji” Ameryki zakończy się przykrym dla niej finałem. Nic nie jest przesądzone. Jakkolwiek nowy prezydent stanie przed poważnym problemem związanym z osłabieniem roli Ameryki, to może skutecznie temu procesowi deprecjacji przeciwdziałać. Wszystko zależy będzie od jego woli działania, skuteczności podjętych akcji, środków realizacji wytyczonych celów. Innymi słowy, nowy prezydent musi mieć wizję i odwagę, zdolności i autorytet, aby odbudować silną pozycję Ameryki i podołać trudnym wyzwaniom świata zmierzającego ku wielobiegunowości.

I takie oczekiwania stawiano przed Barackiem Obamą, gdy w styczniu 2009 r. obejmował urząd prezydencki. Jego hasło wyborcze *Yes, we can!* zdawało się



sugerować, że jest gotowy podjąć skutecznie te wyzwania. Ponadto niemal euforyczne poparcie milionów Amerykanów, a także entuzjastyczna reakcja w świecie dawały nowemu gospodarzowi Białego Domu niepodważalne atuty już na starcie. Czy zatem te nadzieje zostały spełnione i Obamie udało się – obok wielu innych zapowiadanych celów – osiągnąć także ten: odbudować autorytet Ameryki w świecie i przywrócić jej wiarygodność na arenie międzynarodowej? Czy dzisiaj, zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń, związanych zarówno z problemami wewnętrznymi Ameryki, jak i kwestiami o wymiarze międzynarodowym, możemy mówić o odbudowie silnej pozycji Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, o skuteczności ich działania i umiejętności rozwiązywania problemów? Czy na przykład sposób uporania się z kryzysem syryjskim przysłużył się wizerunkowi Ameryki jako zdecydowanego i skutecznego mocarstwa? Co opinia światowa może powiedzieć o państwie i jego administracji, gdy wskutek partyjnych rozgrywek państwo to staje przed – choćby teoretycznym – widmem bankructwa, a jego urzędy przez czas jakiś nie pracują? Wreszcie, jaki wpływ na wizerunek USA w świecie, zwłaszcza wśród ich najbliższych sojuszników europejskich, ma afera szpiegowska we wszystkich jej odsłonach, a przede wszystkim tej ostatniej, związanej z podsłuchiwaniami niemieckiej kanclerz Angeli Merkel, i prawdopodobnie nie tylko zresztą jej?

Co więc możemy powiedzieć o Ameryce po blisko 5 latach urzędowania Obamy? Biorąc jako kryterium oceny obecną pozycję i rolę Stanów Zjednoczonych w świecie, a zwłaszcza w jej relacjach z sojusznikami i partnerami, nie będzie to obraz jednoznaczny, a już na pewno nie wyłącznie pozytywny. Bo chociaż rozstrzygnięcia w kwestii Syrii, których efektem było uniknięcie interwencji zbrojnej, można uznać za korzystne – nie doszło do kolejnych ofiar w tym już i tak krwawym konflikcie, to jednak uwagę zwraca też inny aspekt sprawy. Zgodzić się trzeba z opiniami, że przy okazji, a właściwie w efekcie przyjęcia takiej konwencji działań – najpierw odwołania się do Kongresu, a potem gry dyplomatycznej z udziałem Rosji – ucierpiał autorytet Ameryki i jej prezydenta. Uderzał brak konsekwencji Obamy, jego niezdolność do podjęcia decyzji. Niczym innym bowiem nie było zwrócenie się do Kongresu o zgodę na zbrojną interwencję w Syrii, jak tylko demonstracją słabości i poniekąd bezradności oraz braku odwagi amerykańskiego przywódcy, który bał się reakcji Amerykanów, przeciwnych akcji militarnej. Próba zrzucenia odpowiedzialności na Kongres była efektem szukania usprawiedliwienia, a przede wszystkim stała się precedensem. Podobnie należy ocenić fakt, że oto – z woli Ameryki – Rosja stała się w tej syryjskiej rozgrywce głównym aktorem. „Prezydent USA sam, na oczach świata, zrezygnował z części swojego autorytetu. Przyznał, że nie powinien decydować sam. Dopuścił do decyzji Putina,



którego akcje na arenie międzynarodowej wzrastają” – dowodził jeden z ekspertów waszyngtońskiego *German Marshall Fund*. Trudno z nim się nie zgodzić.

Groźny jest ten precedens, gdy Ameryka boi się interweniować, i to nawet w sytuacji tak ewidentnej z humanitarnego punktu widzenia, gdy nie chodzi o jej żywotny interes (*vital interest*). Oto bowiem daje o sobie znać głęboko tkwiący w amerykańskiej świadomości izolacjonizm, wzmocniony zresztą kontrowersyjnymi interwencjami w Afganistanie, a zwłaszcza w Iraku (aż 38% Amerykanów, najwięcej od 1947 r., chce, aby Ameryka trzymała się z dala od spraw świata). „Ten naród ma już wojny powyżej uszu” – mówił Obama, cytując list jednego z amerykańskich weteranów. Z pewnością tak jest i można to zrozumieć. Ale gdy przywódca państwa, uchodzącego – mimo wszystko – za niezbędnego filara porządku międzynarodowego, kieruje się przede wszystkim takimi przesłankami, może to mieć groźne konsekwencje nie tylko dla pozycji i rangi tego państwa w świecie, ale przede wszystkim dla porządku globalnego. „Jeżeli nie podoba wam się świat, w którym USA regularnie interweniowały, zobaczcie, jak wam się podoba ten, w którym tego nie robą” – pisał brytyjski historyk i publicysta Timothy Garton Ash.

Utrzymaniu silnej rangi Ameryki na arenie międzynarodowej z pewnością nie służył kryzys budżetowy, do jakiego doszło ostatnio w Waszyngtonie. Odmowa uchwalenia budżetu państwa przez republikańską większość w Izbie Reprezentantów spowodowała nie tylko zamknięcie na kilkanaście dni urzędów federalnych i różnych instytucji oraz przymusowy urlop dla tysięcy urzędników, ale też silnie zachwiała zaufaniem do Ameryki i zburzyła obraz państwa niezwykle sprawnego i dobrze zarządzanego. Wszak niemal od momentu swego powstania Stany Zjednoczone funkcjonowały jako modelowy organizm demokratyczny i na tym m.in. budowały swą silną pozycję i znaczenie w świecie. To stało się przesłanką słynnego postannictwa Ameryki – misji dziejowej wobec reszty świata i innych narodów. Tymczasem w październiku doszło do „politycznej dysfunkcji” państwa amerykańskiego, już i tak borykającego się z nadwerżonym wizerunkiem na arenie międzynarodowej. Wprawdzie precedens był – w 1995 r. z podobną sytuacją miał do czynienia Bill Clinton. Wówczas jednak z problemem zmierzyła się administracja państwa z niekwestionowanym statusem supermocarstwa. Problemy Clintona z republikańskim Kongresem świat potraktował zatem jako spór czysto wewnętrzny – partyjny, a nie czynnik osłabiający potęgę Ameryki. Teraz trudności z finansowaniem wydatków federalnych spowodowały, że prezydent Obama musiał odwołać swą wizytę w Azji, co nie tylko stawiało pod znakiem zapytania skuteczność i znaczenie ogłoszonego w



2011 r. „zwrotu” USA ku Pacyfikowi, ale przede wszystkim oddawało pole głównemu konkurentowi Ameryki w tym regionie – Chinom.

Co więcej, tym razem dyskredytacja państwa amerykańskiego w opinii międzynarodowej była spotęgowana groźbą jego bankructwa poprzez brak zgody na zwiększenie długu publicznego. Jakkolwiek zdania co do tego, czy i jaki miałoby to ewentualny skutek zarówno dla samej Ameryki, jak i dla globalnej sytuacji gospodarczej, były podzielone i różne, to jednak odbiór społeczny w świecie był jednoznacznie negatywny. I mniej liczyło się dla opinii międzynarodowej, kto w tym sporze na gruncie krajowym wygrał, a kto przegrał – czy prezydent i demokraci wzmocnili swą pozycję w kraju, czy może Partia Republikańska jeszcze bardziej się skompromitowała. Dla sojuszników i konkurentów Stanów Zjednoczonych konkluzja brzmiała podobnie – była to kompromitacja państwa amerykańskiego, dyskredytacja jego organów i sił politycznych.

W takim również kontekście należy widzieć aferę podsłuchową – jako kompromitację państwa amerykańskiego oraz dalsze podważenie jego wiarygodności na arenie międzynarodowej. Już sam fakt ucieczki do Rosji analityka, pracującego wcześniej dla amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, uderzał boleśnie w prestiż amerykańskich służb wywiadowczych. Ponadto, już kolejny raz – po aferze z wyciekiem amerykańskich dokumentów do Internetu – amerykańska kuchnia wywiadowcza i dyplomatyczna została wystawiona na widok publiczny. Czy jest coś bardziej kompromitującego dla państwa i jego służb, niż taki właśnie „wielki wyciek informacji”?

Jednak najważniejsze i najdotkliwsze dla wizerunku Ameryki są konsekwencje związane z oceną tych wydarzeń przez sojuszników europejskich (skutki dla samych relacji amerykańsko-niemieckich wymagają osobnego potraktowania). Wszak podsłuchiwanie prawdopodobnie – oprócz kanclerz Merkel – także innych przywódców z Europy. „Takich rzeczy nie robi się wśród przyjaciół” – takie słowa można było usłyszeć z ust polityków europejskich. I chociaż trudno wykluczyć, że różne służby, również w Europie, robią różne rzeczy, to fakt, że właśnie „proceder amerykański” ujrzał światło dzienne, postawił Stany Zjednoczone pod pręgierzem powszechnej krytyki, kompromitując je w oczach Europejczyków. Paradoks sytuacji polega na tym, że dzieje się to w okresie prezydentury Obamy, z którym także w Europie wiązano wielkie nadzieje, że skończy się hipokryzja i arogancja Ameryki czasów Busha, że nastąpi powrót do atrybutów *soft power* w działaniach dyplomacji amerykańskiej, a przede wszystkim odbuduje się wzajemne zaufanie i prawdziwe partnerstwo w relacjach transatlantyckich. Teraz wszyscy entuzjaści czarnoskórego prezydenta



muszą przełknąć „gorzką pigułkę”. To może jeszcze bardziej zwiększyć dystans między europejskimi przywódcami a prezydentem amerykańskim, który – notabene – z żadnym z nich nie nawiązał bliższych więzi emocjonalnych. Choćby na miarę relacji między tak krytykowanym Bushem a kanclerz Merkel czy premierem brytyjskim Tonym Blairem. Przyznają to zresztą sami komentatorzy amerykańscy, a zgadzają się z nimi dziennikarze niemieccy, choćby z „Der Spiegel”.

Tak jak kiedyś zarzucano administracji Busha, że zmarnowała ten wielki ładunek poparcia i solidarności, jakimi Ameryka cieszyła się po ataku 11 września 2001 r., tak teraz podobne opinie padają pod adresem ekipy Obamy, entuzjastycznie witanej 5 lat temu w Europie. Nie udało się nadać nowego impulsu relacjom transatlantyckim, osłabło ewidentnie zainteresowanie Ameryki kontynentem europejskim – same wizyty prezydenta USA w Starym Świecie były sporadyczne i krótkie. Powstawało nieodparte wrażenie, że oba te światy coraz bardziej się od siebie oddalają. Afera podsłuchowa z pewnością tego procesu nie powstrzyma. Może natomiast utrudnić dalsze negocjacje związane z tworzeniem wspólnej strefy wolnego handlu (tzw. handlowe NATO) – a przecież z tym rozstrzygnięciem wiązano tak wielkie nadzieje. Trzeba bowiem czasu i wysiłku, zwłaszcza ze strony Waszyngtonu, aby odbudować nadwerężone zaufanie .

Odnosząc wydarzenia z ostatnich tylko tygodni do kwestii amerykańskiego przywództwa na arenie międzynarodowej, trudno uciec od konkluzji, że jesteśmy bliżej, niż można było sądzić, świata postamerykańskiego. Wcale nie znaczy to, że świat ten będzie lepszy i bezpieczniejszy, wprost przeciwnie – może być gorszy. Tym bardziej więc ostatnia dyskredytacja państwa amerykańskiego, zarówno w aspekcie wewnętrznym, jak i międzynarodowym, powinna budzić nasze głębokie zatroskanie.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

